Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 26.

dnia 29. Maja 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Stern od niepamiętnych czasów nie szedł tędy pieszo. Już to w ogóle on dłuższych przechadzek nie lubił; zdawało mu się nawet, że one ubliżają jego godności. Niech ten chodzi — mawiał — kogo na konie nie stać, ja sobie mogę pojechać. Idąc teraz rozglądał się też ciekawie, oko bowiem jego zawsze ruchliwe i niespokojne, lubiło wszystko badać, aby z wszystkiego możliwą korzyść wyciągnąć. Przypatrując się polom świeżo zasianym, doszedł aż do Ekonomówki, i właśnie gdy sobie w głowie układał, ile tysięcy zbierze na przyszły rok za pszenicę, drgnął i jak zpiorunowany w miejscu się zatrzymał.

Przed nim stał mężczyzna słuszny, z czarną brodą, mierząc go spojrzeniem przenikliwem. Chwilę spoglądali na siebie nic nie mówiąc. Wreszcie nieznajomy pierwszy zagadał:

— Jak się pan masz?

Stern jąkając się odparł:

— Co... co pan chcesz?... Ja pana nie znam.

Nieznajomy drwiąco się uśmiechnął.

— Chociaż mówisz, że mnie nie znasz, możesz przecie odpowiedzieć jak się masz.

Stern niespokojnie rzucił wzrok w koło siebie, ażali kogo nie zobaczy. Nikogo nie było.

— Co to jest, napad, rozbój?! — głośno zawołał, usiłując tem dodać sobie odwagi. — Jak pan śmiesz drogę mi zastępować?

— Więc mnie nie znasz panie Jakóbie Stern? — nieznajomy zapytał, na dwa ostatnie słowa szczególny nacisk kładąc. — Doprawdy nie znasz Ludwika Sciernickiego? — powtórzył, na wskroś go wzrokiem świdrując.

— Na co ja mam pana znać? — odpowiedział, i w tejże chwili skoczył na pole, aby przez zagony dostać się do kładki.

— Mam nadzieję, że mnie rychło poznasz! — krzyknął za uciekającym nieznajomy, palcem mu grożąc. Potem rzekł do siebie półgłosem: — Teraz przysięgnę że to on!

Stern tymczasem coraz szybciej pomykał, od czasu do czasu trwożliwie się oglądając. Dopiero gdy kładkę minąwszy, znalazł się przy pierwszej chacie włościańskiej, zwolnił kroku, potem nawet stanął, poważnie się obrócił i odetchnął głęboko. Dopiero teraz był bezpieczny. Na próżno jednak wpatrywał się w Ekonomówkę. Jej mieszkańca nigdzie już nie dojrzał.

Męcząca musiała być dla Sterna ta bieganina przez pola świeżo zorane, na blade bowiem czoło wystąpił mu w dużych kroplach pot zimny, wargi mu drgały i zęby dzwoniły. Spotkanie z tajemniczym mieszkańcem Ekonomówki musiało w nim także obudzić myśli przeróżne, skoro do domu przyszedłszy, przed nikim ani wspomniał o swojej klęsce wyborczej, tylko zadumany chodził po kancelarji, jakby coś ważnego układał. Dopiero późnym wieczorem wezwał do siebie ze wsi arendarza, i z tym sam na sam długo się naradzał.

Rózia nie pytała ojca o powód jego niepokoju, od dłuższego bowiem czasu na wszystko zobojętniała. W młodem jej sercu porwały się jakieś struny, które ją ze światem łączyły i odtąd biedne dziewczę wprawdzie ruszało się i żyło, lecz ruch

to był bezwiedny, jakby automatyczny, a życie przerażająco smutne! Z twarzy znikły rumieńce, oczy przygasły, usta pobladły! Zapominała nawet o swojem gospodarstwie. Kwiatki po kilka dni nie były podlewane, kanarki nie raz do południa napróżno głośnym świegotem o siemię prosiły, nawet *Neptun* stracił u niej łaskę, bo go rzadko głaskała. Pies siadał na tylnych łapach i kładąc głowę na jej kolanach, oczyma jak ludzkie rozumnemi, uważnie w nią się wpatrywał. Jeżeli do niego przemówiła, machał ogonem i mruczał z radości, natomiast ilekroć nań uwagi nie zwracała, szczekał tak głośno, że aż pani Sara Stern w swoim pokoju na klucz się zamykała. I szczekanie dopóty nie ustawało, dopóki go w głowę nie ucałowała. Wtedy *Neptun* jakby na podziękowanie chwytał ją zębami za suknię, usiłując przemocą z domu wyprowadzić.

— Nie mamy po co iść — odpowiadała żałośnie głową potrząsając — chorych dzięki Bogu już nie ma, a widzieć nas także nikt nie pragnie...

Pies słysząc to, czoło marszczył, z niezadowoleniem brał ogon pod siebie, i kładł się na dywanik przed łóżkiem leżący, przyczem zawsze ciężko wzdychał.

Matka widząc tak wielką zmianę w jedynaczce, zaczęła mężowi robić w cztery oczy wymówki, że jej za mąż nie wydaje.

— Przecie ma już lat blisko dziewiętnaście — ciągle powtarzała.

— Nie bój się Saro — mąż odpowiadał — już my ją wydamy! Trudno jednak żądać, żebyśmy ją dawali pierwszemu lepszemu. Panna Róża Stern będzie miała kiedyś więcej niż miljon. *Hörst dü Sure, über eine Million!*

— Ale trzeba żebyś tego męża zaczął raz szukać... Wszak wiesz co rabini mówią: dziewczyna, której rodzice nie wydają, sama się wydaje...

— Nie bój się Saro, znajdę ja go, znajdę... W Galicji, *in diesem verfluchten Lande* dla naszej córki nie ma męża, za to we Wiedniu, *ach! in Wien!* w banku barona Rothschilda *hab' ich einen sehr delikaten und fein gebildeten Mann*, który dla niej będzie w sam raz. Co to za głowa, *a fein kepele!* No, i będzie miał swoich sto tysięcy.

— Napisz więc do niego.

— Pomaleńku Saro! Da Bóg doczekać, niezadługo będę sam we Wiedniu, to się z nim rozmówię...

Róża nie przeczuwała, jakie plany co do jej przyszłości rodzice układali. Jeden garbus wszystkiego się domyślał i w duszy truchlał, że może zabiorą mu tę z przed oczu, bez której życie nie miało dlań żadnej wartości...

Była to późna jesień, gdy dnia jednego Rózia *Neptuna* przywoławszy, wyszła z nim na przechadzkę. Wyszedłszy za ogród, stanęła, jakby się namyślając, którą drogę obrać. Na prawo szło się w głąb wsi i tędy do kładki; na lewo ku alei lipowej i do kaplicy. Jakaś siła niepojęta w prawo ją ciągnęła i nawet kilka kroków naprzód już postąpiła, lecz wezwawszy całą moc ducha na pomoc, oparła się biednemu sercu.

— Możeby mnie zobaczył i pomyślał sobie, że jego szukam!... A ja go nie chcę, nie chcę widzieć!

Zwróciła się więc ku drodze lipowej i z głową ku ziemi pochyloną szła powoli, krok za krokiem.

Był to jeden z tych dni cichych, ciepłych i słonecznych, któremi jesień zwykła ziemię żegnać, zaścielając całą jej powierzchnię srebrną przędzą pajęczyny. Tak wygląda uśmiech sprawiedliwego, gdy na godzinę przed skonem żegna rodzinę i przyjaciół. Słodki to uśmiech, lecz równocześnie taki jakiś żałośny, że po za nim każdy śmierć widzi! I ten dzień był piękny, słońce uśmiechało się na niebie, w powietrzu cisza panowała, a mimo to w naturze czuło się już śmierć, zimę!

Stanąwszy pod kaplicą, Rózia westchnęła i usiadła na dużym kamieniu ciosowym, który tu leżał przez robotników porzucony. *Neptun* swojej pani w oczy spojrzawszy, ułożył się u jej nóg na trawie.

O czem myślało młode dziewczę, błądząc wzrokiem po okolicy na pół obumarłej, po drzewach, z których sypał się liść żółty, po brudnych domach Ludaczowa, który na wzgórku panował i po włościańskich chatach Starejwsi, na której końcu widać było biały dwór Gozdawitów? Czy przypadkiem nie tęskniła do czego, lub może tylko żałowała przeszłości, niegdyś jednostajnej i spokojnej, a więc szczęśliwej, oczy jej bowiem zaczęły łzami się napełniać, tak, że musiała chusteczką twarz sobie zasłonić.

Położywszy głowę na kolana, płakała cicho a serdecznie.

— Panno Różo! — zabrzmiał tuż przy niej jakiś głos słodki.

Podniosła oczy, w których widać było świeżych łez ślady i ledwie jedno

— Ach! — wyrwało jej się z głębi serca.

Przed nią stał Ryszard Gozdawa, tak samo jak ona blady i smutny.

Jadąc drogą, zobaczył ją z daleka, i lubo rozum żądał od niego, żeby się nie zatrzymywał, on, ten człowiek arcypozytywny i zimny, kazał stanąć i na palcach zbliżył się do siedzącej. Co go tam ciągnęło? Alboż się nad tem zastanawiał! Co jej chciał powiedzieć? Alboż wiedział! Więc może od niej pragnął co usłyszeć? O tem ani myślał!

Usłyszawszy okrzyk jakby przestrachu, skorzystał z niego, by rozmowę nawiązać.

— Przepraszam cię pani -- rzekł — żem przyszedł ani proszony, ani oczekiwany, ujrzawszy cię jednak z daleka, nie mogłem przenieść na sobie, żeby cię nie pożegnać.

Jeszcze bardziej pobladła.

— Jakto, pan odjeżdżasz? — zapytała głosem, który brzmiał jak echo dalekie.

— Za dni kilka wyjadę do stolicy, gdzie prawdopodobnie stale zamieszkam.

— Tak!...

Zapanowała chwila przykrego milczenia.

— I jeszcze jedno sprowadziło mnie do ciebie pani! — znowu przemówił — Żegnając cię, chciałem równocześnie przeprosić.

— Za co? — spokojnie zapytała.

— Za słowa, które wypowiedziałem ongi przy kładce, gdyśmy się ostatni raz widzieli.

— Powiedziałeś pan tylko prawdę, a ja za prawdę nigdy się nie gniewam.

— Lecz ta prawda może cię zabolała?

— Z boleści moich nie zwykłam się przed nikim zwierzać.

— Panno Różo! mówmy otwarcie... Nie wiedząc kto jesteś, wypowiedziałem słowa, których za chwilę żałowałem, i gdybym był przypuszczał...

Urwał, nie mając odwagi dokończyć.

— Pozwól pan, ja cię wyręczę... — z żałośnym rzekła uśmiechem. — Zapewne chciałeś pan powiedzieć, że gdybyś był wiedział, iż jestem żydówką, nie byłbyś tego mówił, com wówczas usłyszała... O! panie, na co tej obłudy? Czemu przez grzeczność masz się zasad wypierać, którym hołdujesz? Nie ja jedna, cały świat mówi, że żydów nie lubisz, że ich nienawidzisz, a mój ojciec zbiera nawet tego codzień świeże dowody! Czemu więc i teraz nie powtórzyć: Jesteś żydówką, z pokolenia przeklętego, i dla tego cię nienawidzę, dla tego tobą gardzę!

— Pani!

— Czyż nie lepsza taka otwartość, którą jako zasadę, jabym w panu umiała nawet uszanować, niż ta grzeczność konwencjonalna, ubliżająca mnie i tobie?

Ryszard był na wszystko przygotowany, tylko właśnie nie na to, co usłyszał. Rózia mówiąc poważnie się podniosła i okiem spokojnem w niego się wpatrywała.

— Zbyt surowo osądzasz mnie pani, twierdząc, że obłudnie postępuję... Że zawsze jestem szczery, niech cię pani i to przekona, iż słów wówczas wypowiedzianych bynajmniej nie cofam, owszem przyznaję, że wypłynęły one z głębokiego mego przekonania, a przepraszam cię jedynie za zbyt szorstką prawdę, jaka się w nich mieściła.

— Powiedziałam ci już panie, że prawda nie może mnie rozgniewać...

Mówiła teraz głosem drżącym, nie tak odważnie jak poprzednio.

— Jeźli tak, więc na stwierdzenie szczerości słów swoich, podaj mi pani rękę.

— Moją rękę? — powtórzyła z przerażeniem się cofając. — I pan byś się nie brzydził dotknąć ręki istoty przeklętej, tej ręki, która nic innego nie umie tylko liczyć pieniądze? Kiedyś zaczął być szczerym, bądźże do końca, i przyznaj, że ręka żydówki była ci zawsze wstrętną!...

Ryszard zamiast na to odpowiedzieć, szybkim ruchem do niej się zbliżył, i śmiało ujął ją za rękę. Usiłowała wyrwać, on jednak jej nie puścił. Trzymał nawet mocno, kurczowo ją ściskając... Oczy odwróciła, by na niego nie patrzeć...

— Po raz więc ostatni przepraszam cię pani — szepnął głosem wzruszonym — i bądź zdrowa!

Chwilę się zawahał, jakby ją w rękę chciał pocałować... Wszakże prędko nad sobą zapano-

wawszy, przycisnął ją tylko do swej piersi, w której serce biło gwałtownie i szybko się oddalił.

Rózia nie wiedziała co się z nią działo. W oczach jej pociemniało, nogi pod nią się ugięły, bezsilna na kamień się zsunęła...

Po chwili on do domu wracał — ona zaś pod kaplicą została jak posąg boleści, płaczący po stracie wszystkiego, co mu było najdroższe, po stracie pragnień, marzeń i nadziei!

ROZDZIAŁ III.

„PRZYSZŁOŚĆ.“

Nasz przyjaciel prędko się dowiedział, jak trudnem jest życie na szerszej widowni. Zaledwie na arenie politycznej pierwszy krok postawił, zaraz go spotkały podejrzenia, nieprzyjemności, potwarze. Jeszcze się z powiatu swego nie wydalił, a już w całym obwodzie mówiono o nim jako o młodziku niezmiernie zuchwałym, który dla dogodzenia swojej fantazji gotów był narazić nawet sprawę narodową. Wybór księdza ruskiego, zamiast Sterna, był hasłem do ogólnej przeciw niemu krucjaty. Najwięcej jednak uczynił pan Walery Żylewicz. Ten nazajutrz po wyborach, otrzymawszy telegram od Sterna, napisał przeciw Ryszardowi, wymieniając go tym razem po imieniu i nazwisku, tak zjadliwy artykuł, że pan Gozdawa, gdy go odczytał, w pierwszej chwili chciał pędzić do miasta i wyzwać całą redakcję *Teraźniejszości*. Zaledwie synowi powiodło się go uspokoić. Ryszard przeczytawszy artykuł uważnie, i nie znalazłszy w nim nic takiego, coby jej honorowi ubliżało, a tylko w części złośliwe, w części grubiańskie wycieczki przeciw jego działalności politycznej, w te słowa do ojca przemówił:

— Gdyby każdy przez dzienniki surowo oceniony, chciał od ich redaktorów żądać satysfakcji, ci musieli by bić się od rana do wieczora, i wolność prasy była by tylko na papierze. Kto do walki występuje, musi przygotować się na pociski.

— Wszystko to dobre, sercuńciu, lecz pocisk pociskowi nie równy. Zresztą niech sobie pakuje w gazetę kogo mu się podoba, ale od Gozdawy mosterdzieju wara!

Ryszard długo ojcu tłumaczył, że każdy człowiek, który coś robi, musi być przygotowanym na surową krytykę swoich przeciwników. Nawet prawodawcy, dygnitarze państwa i ministrowie są narażeni na jej pociski. Ojciec wysłuchawszy osądził, że gazeta może sobie każdego napadać i cały świat krytykować, byle Gozdawitów szanowała. Z tem wszystkiem po całogodzinnej dyspucie przyrzekł jedynakowi nie robić żadnej awantury, równocześnie atoli dał mu słowo, że jeźliby się *Teraźniejszość* ośmieliła napaść go publicznie bodaj raz jeszcze, począwszy od naczelnego redaktóra, a skończywszy na jej ostatnim współpracowniku, wszystkim uszy poobcina.

Jakkolwiek młody nasz przyjaciel starał się ojca przekonać, że artykuł gazety ani mu ubliżył ani go zabolał, w głębi duszy cierpiał niezmiernie. Straszną bo też jest potęga słowa drukowanego! Każda plotka, najprostrze kłamstwo, najmniej prawdopodobne oszczerstwo, przybiera inne kształty, skoro jest drukiem ogłoszone. Te czcionki równe, czarne i zimne, są jakby wyrok sądu, od którego nie ma apelacji. Takie wrażenie robi słowo drukowane nawet na tych, którzy sami piszą i drukują; cóż dopiero mówić o tej masie, dla której zdolność pisania rzeczy do druku zdatnych, taką jest wielkością, jaką niegdyś w oczach egipskiego fellaha była umiejętność kapłanów, ozdabiania hieroglifami obelisków i sarkofagów, które miały trwać wieczność!

Ryszard prędko zrozumiał, że jeżeli ma dalej iść drogą, na którą wstąpił, musi postarać się o jakiś organ, któryby go popierał; inaczej powinien uważać z góry swoją partję za przegraną. Tymczasem w stolicy nie było pisma, któreby z *Teraźniejszością* mogło walczyć skutecznie. Należało więc takie stworzyć. Z początku gdy myśl ta zaczęła mu głowę zaprzątać, odtrącił ją jak himerę, powoli jednak coraz więcej z nią się oswajał, w końcu uznał ją za niezbędną. Do tego postanowienia przyczyniła się głównie okoliczność, że za rok miały nastąpić powszechne wybory do Rady państwa. Że Stern skorzysta z tej sposobności, i wszystkie siły wytęży, by mandat uzyskać, o tem Ryszard chwili nie wątpił. Jeźli zatem nic już więcej, to przynajmniej sama ambicja nakazywała myśleć o dalszej walce ze Sternem. Nie wpuścił go do Sejmu, którego działanie wcale nie jest doniosłe, a miałby go wpuścić do wiedeńskiej Rady Państwa, gdzie rozstrzygają się sprawy najważniejsze? Takiego błędu Ryszard nigdy by nie popełnił.

Były i inne rzeczy, które go skłaniały do zamieszkania w mieście. Bądź co bądź ojciec jego leciał w przepaść; on zaś katastrofy, mimo że się jej spodziewał, nie mógł odwrócić. Miałże więc siedzieć w Starejwsi i czekać, aż mu się dach nad głową zawali? Czy tedy nie było lepiej wyjechać i naprzód coś dla ojca obmyśleć? Prócz tego jak długo mieszkał w pobliżu Woli Ludaczowskiej, myśl o Rózi zbyt natrętnie umysł mu zaprzątała, a on nawet wspomnienie tej osoby chciał na zawsze z serca wydrzeć! Najłatwiej spodziewał się to osiągnąć przez oddalenie...

Chociaż był młody, dobrze zawsze rozważał, zanim coś przedsiębrał. Do działania nie rzucał się także na oślep, lecz należycie przygotowany. Dość długo trwało, nim sobie powiedział, że nowy dziennik założy, ale gdy raz powziął to postanowienie, począł zastanawiać się nad sposobami, jakby swój projekt najlepiej urzeczywistnić.

Nie jeden, nie mający ani połowy tej co on nauki, a jeno obdarzony bujną wyobraźnią, byłby sobie powiedział, że dość chcieć by coś osiągnąć, poczem bez dalszego wahania i namysłu zaczął by dziennik wydawać. Przeciwnie Ryszard mimo dwóch dyplomów, które przywiózł z zagranicy, nie czuł się jeszcze całkiem na siłach, rozum bowiem mówił mu, że dobry publicysta powinien przedewszystkiem poznać dokładnie stosunki kraju, dla którego pracuje, inaczej działalność jego nigdy nie będzie skuteczną. Otóż nie znał on jeszcze tak tych stosunków, jakby je znać chciał i powinien. Mieszkając dłuższe lata za granicami kraju, wiedział wprawdzie co się w nim ważniejszego działo, lecz nie zawsze umiał sobie wytłumaczyć, dla czego to lub owo stało się właśnie tak a nie inaczej. Prócz tego studjując najpierw autorów klasycznych, następnie medycynę, nie miał czasu myśleć o polityce i dla tego nie znał prądów poruszających maszynerją rządu austrjackiego. A bez poznania tych prądów, bez zrozumienia polityki austrjackiej, czyż mógł być dobrym dziennikarzem w Galicji, którą losy do organizmu Austrji przykuły? Aby zatem nie rzucać się na oślep, postanowił dłuższy czas jeździć po kraju, potem na kilka miesięcy udać się do Wiednia.

Przed ojcem nie zwierzył się jeszcze ze swoim planem. Bał się jego opozycji, która lubo że nie była w stanie odwieźć go od zamiaru raz powziętego, zawsze sprawiła by mu wielką przykrość. Powiedział tylko, że wyjeżdża na jakiś czas do Krakowa, aby w uniwersytecie Jagiellońskim złożyć egzamina medyczne i że przy jednej sposobności odwidzi dalszych krewnych, którzy na Mazurach mieszkają. O ile ojciec drugą część zamiaru syna pochwalał, o tyle sprzeciwiał się pierwszej. Szlachcic z jego pojęciami nie mógł w ogóle zrozumieć zamiłowania syna do nauk, najmniej zaś do medycyny, którą poczytywał za rzemiosło bardzo poślednie. Cyrulik rwący zęby w Ludaczowie i puszczający krew chłopom, a lekarz wybawiający chorego od śmierci, w przekonaniu pana Gozdawy pod względem moralnym stali całkiem na równi, i chyba ta jedna zachodziła różnica, że drugi więcej niż pierwszy zarabiał. Ryszard pomnąc, co mu ojciec raz już powiedział, pokonał go dopiero przy pomocy dyplomacji.

— Prawda, że kochany ojciec chwalił mnie za to, iż podczas epidemji biednych ludzi leczyłem?

— Temu nie przeczę i jeszcze dziś sercuńciu muszę cię za to pochwalić. Ale ratować biednych bezpłatnie, a robić Bóg wie co za pieniądze, to znowu co innego mosterdzieju...

— Kochany ojciec zapewne jednak nie wie, że według praw w Galicji obowiązujących, nikomu bez egzaminów złożonych w Austrji leczyć nie wolno.

— Co mówisz sercuńciu, więc takie są tu prawa?

— Takie ojcze drogi, i aby z niemi nie wejść w kolizję, rad nie rad muszę ponowić moje egzamina.

— Ha! jeżeli tak, to co innego sercuńciu!... Idź więc mój Rysiu i tylko daj mi słowo, że za pieniądze nie będziesz doktorem.

— Zostanę nim chyba wtedy, gdy mnie do tego nieubłagana konieczność zmusi.

— A jakaż by to mogła być konieczność, sercuńciu?

— Potrzeba pieniędzy, aby żyć...

— Cha! cha! cha! śmiej się mosterdzieju! Alboż to Starawieś taka mała, żebyś z niej nie miał wyżyć? Wystarczyła dla mnie, da Bóg sercuńciu wystarczy i dla ciebie. Zresztą masz i swego trochę grosza, no i ożenić się możesz bogato. Nie bój się zatem, i daję ci mosterdzieju w zakład moje gardło, że nigdy nie będziesz potrzebował leczyć za pieniądze.

— W takim razie zostanę lekarzem z zamiłowania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Ci co pozostali, nie zdawali się wielce uszczęśliwieni Edmunda poleceniem i nie mogli znaleść tak prędko, jak on się spodziewał, tonu poufałego, któryby zdradzał ich bliskie kuzynowstwo. Na czole Jadwigi ciemna chmura zawisła, a i Oswald dotąd nie wiele okazywał owej rycerskości, o którą go brat posądzał. Wreszcie odezwał się w te słowa:

— Mój kuzyn w tak głębokiej dotąd tajemnicy ukrywał swoje z panią stosunki, iż dzisiejsza niespodzianka podziałała na mnie odurzająco.

— Dałeś nam to uczuć dostatecznie, panie Ettersberg — odrzuciła Jadwiga.

Dziwna rzecz, jak to dziecko, na pozór takie swawolne i lekkoduszne, umiało, gdy chciało, mówić całkiem na serjo, z dumą obrażonej kobiety.

Oswald zbliżył się do niej powoli.

— Czujesz się pani dotkniętą i słusznie. Największa jednak wina cięży na Edmundzie. Czyż mogłem się spodziewać, że on swoją narzeczonę, a przyszłą małżonkę, zechciałby narazić na podobne... pomyłki, jakiej ja się dopuściłem.

Twarzyczka Jadwigi znowu ciemnym szkarłatem spłonęła.

— Krytykując postępek Edmunda, do mnie pan pijesz. Wszak ja na tę schadzkę przyzwoliłam! Że to była z mojej strony wielka nieostrożność, poznałam dopiero po pańskim wzroku i tonie.

— Prosiłem już o przebaczenie, i jeszcze raz proszę — Oswald odrzekł łagodnie. — Ale przyznaj pani sama, co by było, gdyby ktoś zupełnie nieznajomy, któremu by nie wypadało, tak jak mnie tajemnicy przedwcześnie powierzać, gdyby ktoś taki, powtarzam, przejeżdżał tą drogą? Jakiby sąd wydał o waszej schadzce? Obstaję przy mojem zdaniu. Edmund nie powinien był narażać pani na coś podobnego!

— Nie darmo Edmund nazywa pana zawsze swoim surowym mentorem. Zdaje się, że jako jego narzeczona, podzielę ten przywilej, i że pan zechcesz się zająć dokończeniem mojej... edukacji!

W głosie i tonie Jadwigi odczuwało się najwyższe rozdrażnienie.

— Ostrzegałem tylko... ranić nie było moim zamiarem. Od pani zresztą zależy, w jaki sposób zechcesz się na to ostrzeżenie zapatrywać.

Nic nie odpowiedziała. Głęboki spokój i smutek, który w tych słowach przebijał, wywarł na nią pewne wrażenie, chociaż nie zdołał jeszcze całkiem jej gniewu ułagodzić.

Podjęła kapelusz z murawy, usiadła na dawnem miejscu i zaczęła na kapeluszu kwiatki wyprostowywać. Mocno biedak ucierpiał! a był to śliczny kapelusik, zupełnie do tegorocznej wiosny niepodobny. Szron, który leżał tu jeszcze rano, teraz zaś w zimną rosę się zamienił, nie tylko kwiatkom naturalnym nie pozwalał dotąd główek na świat wytknąć, ale i tym kwiatkom sztucznym mocno zaszkodził. Zawcześnie jeszcze było co prawda na taką letnią słomianą berżerkę pełną kwiatów i wstążek. Dotąd wiosna, jak już wspomnieliśmy, darzyła na przemian śniegiem, deszczem, przymrozkami i wichrem północnym.

I dziś niebo pokryło się gęstemi chmurami, które ani jednego promienia słońca nie dopuszczały. Mgły wiszary czepiały się wyższych i niższych drzew gałęzi, dotąd nagich, bez listka jednego. W powietrzu czuć było wilgoć, deszczem lada chwila grożącą. Zimno było dokuczliwe, i zaledwie na niższych krzaczkach można było dopatrzeć pękające z obsłon zimowych młode listeczki, walczące śmiało o swój byt ze szronem i przymrozkami. Widnokrąg był dotąd bardzo pusty i smutny.

Oswald nie próbował więcej nawiązywać urwanej rozmowy, Jadwiga jakiś czas również milczała, ciągle jeszcze nadąsana, wreszcie za długo jej tego było i pierwsza zaczęła:

— Co za nieznośny kwiecień! Jak gdybyśmy byli w głuchej jesieni, i na zimę czekali. Okropne powietrze. Zdaje się, że w tym roku tylko w kalendarzu wiosna będzie, nas niestety ominie zupełnie!

— Czy pani tak bardzo lubisz wiosnę?

— Ciekawam ktoby jej mógł nie kochać! Szczególniej gdy się jest młodym, nie można się obejść bez woni kwiatów i słońca promieni. Czy pan jesteś innego zdania?

— Jest to względne uczucie widzi pani. Nie każdy rok ma wiosnę... i nie każde życie... młodość...

— Więc pan jej nie miałeś?

— Nigdy!

Ileż goryczy było w tem jednem słówku. Jadwiga spojrzała z pod oka na mówiącego i w duchu pomyślała, jak on też podobny do dzisiejszego dnia ponurego i dżdżystego, który tak ją irytował. Jakaż olbrzymia różnica między tak bliskimi krewnymi! U Edmunda sypią się dowcipy jak z rękawa, nawet plan kampanji przeciw rodzicom, obmyślał śmiejąc się i żartując, jakby szło o jakąś wyprawę wesołą, o majówkę tańcującą, lub coś podobnego, a nie o kwestję żywotną, mającą rozstrzygać o ich szczęściu lub niedoli. Teraz gdy widziała przed sobą smutną i ponurą postać Oswalda, nie tylko straciła ochotę do żartów, nawet

znajdowała pewien urok, w tej rozmowie tak zupełnie na serjo prowadzonej.

– Straciłeś pan bardzo wcześnie rodziców, wiem to od Edmunda — po chwili przemówiła; — w Ettersberg jednak znalazłeś drugi dom rodzicielski, i jakby drugą matkę.

Twarz młodego człowieka, która była cokolwiek złagodniała, przybrała wyraz ostry i nieubłagany. Oczy błysły nienawiścią, rysy kurczowo się wykrzywiły, usta zadrgały:

— Myślisz pani zapewne o mojej stryjence, hrabinie Ettersberg?

— Tak. Czyż panu matki nie zastępowała?

Znowu drgnął, odpowiedział jednak z całym spokojem:

— O! pewno! Wielka to jednak różnica, czy się jest najdroższem, jedynem dzieckiem w domu własnym, jak Edmund u swojej matki, a pani u ojca, czy też obcym, do domu li przyjętym.

— Edmund uważa pana za brata — wtrąciła Jadwiga — bardzo mu boleśnie, że już tak prędko rozłączyć się macie.

— Zdaje się, że Edmund był aż nadto rozmowny co do mojej osoby — odparł zimno. — Więc nawet i o tem pani opowiedział?

Zarumieniła się lekko:

— Przecież to całkiem naturalne, że mnie chciał obznajomić ze wszystkiemi szczegółami rodziny, do której grona mam wkrótce i ja należeć. Narzekał właśnie przedemną, że jego usilne prośby, by pana zatrzymać w Ettersberg, spełzły na niczem.

— Miałem zostać w Ettersberg? — powtórzył Oswald zdziwiony. — O tem nie mógł mój kuzyn myśleć na serjo. W jakiejż roli, jeżeli wolno się spytać?

— Zapewne w roli dotychczasowej, blizkiego krewnego i przyjaciela.

Młody człowiek gorzko się uśmiechnął.

— Pani nie możesz sobie wyobrazić, czem jest podobna s y n e k u r a, krewnego i przyjaciela zupełnie w domu zbytecznego; bo gdybyś to zrozumiała, nie posądziłabyś mnie, abym mógł na tem stanowisku wytrwać choćby o jeden dzień dłużej, niż tego konieczność wymaga. Są może natury, które potrafią znieść podobną zależność, i aby nie pozbawić się przyjemności i wygódek pańskiego życia, gotowe są przyjąć wszelkie tejże konsekwencje. Jam jej nigdy cierpliwie znosić nie mógł. Zawsze było moim zamiarem wyrobić sobie pozycją niezależną, a dziś tem bardziej... Za nic w świecie nie zostałbym w Ettersberg!

Oczy jego błysły ogniem niezwykłym przy tych słowach ostatnich. Było to coś, jak olśniewające światło błyskawicy, coś, o co nikt by tego zimnego wzroku nie posądził. Uderzył on w młodą dziewczynę jak iskra elektryczna, i zagasł natychmiast. Co znaczył właściwie, trudno było odgadnąć. Już to z pewnością nie było w nim czułego uwielbienia, które Jadwiga przyzwyczaiła się czytać w innych źrenicach. Zagadka tej błyskawicy pozostała dla niej nierozwiązaną.

— Dla czegóż teraz mniej niż kiedykolwiek? — spytała. — Co pan pod tem rozumiesz?

— O nic, zupełnie nic... pewne rodzinne stosunki, które dla pani są jeszcze obcemi. — Oswald szybko odrzucił.

Widocznie gniewało go, że zdradził się mimowoli. Odwrócił się, łamiąc najbliższą gałąź niecierpliwie.

Jadwiga zamilkła, lecz tłumaczenie zupełnie jej nie zadowolniło. Czuła instynktowo, że gwałtowność i gorycz, z jaką słowa te były wypowiedziane, miały inny jeszcze powód. Czyż by się tyczyły jej wejścia do rodziny Ettersbergów? Czyż i ten członek nie życzy jej sobie jako przyszłej kuzynki, i od razu staje w obec niej na stopie nieprzyjacielskiej? Co znaczył ten wzrok zagadkowy? Ciągle jeszcze o tem myślała, podczas gdy Oswald odwrócony, bawił się gałązką ułamaną i patrzał w inną stronę.

W tem po nad ich głowami coś zaszeleściało, i dał się słyszeć świegot ptasi, ale nie pojedynczo, tylko w jeden ton ujęty, który przeciągle wibrował w powietrzu.

Oboje jednocześnie w górę spojrzeli. Wysoko, bardzo wysoko unosiła się jaskółka, która teraz z szybkością strzały w dół się spuściła, w przelocie prawie ich głowy musnęła skrzydełkiem, i znowu poszybowała w powietrzne etery. Za nią pojawiła się druga i trzecia, wreszcie cała ich chmura z mgły się wyłoniła, przecinając wartko powietrze zimne i wilgotne, lotem zaledwie okiem dostrzeżonym szybując, to tuż po nad ziemią, to znowu po nad drzew wierzchołki. Zdawało się, iż chcą powitać każdy kącik z osobna, aż wreszcie rozleciały się w różnych kierunkach, szukać dawnych siedzib swoich, i nowe gniazdka budować. Zdala jeszcze dolatywał ich świegot monotonny i piskliwy, a jednak tak miły, gdyż jest pierwszym wiosny zwiastunem, pierwszym powitaniem, budzącej się po śnie zimowym natury.

Jadwiga o wszystkiem w tej chwili zapomniała. Z szyjką naprzód wyciągniętą, z szeroko otwartemi a promieniejącemi źrenicami, śledziła lot ptasząt. Wreszcie plasła w dłonie z dziecinną naiwnością i radośnie krzyknęła:

— Jaskółki! Jaskółki!

— Tak, to one, w samej rzeczy — potwierdził Oswald. — Mogą sobie powinszować, że są z taką radością witane.

Uwaga obojętna zmroziła nagle uciechę młodej dziewczyny. Odwróciła się mierząc okiem pełnem oburzenia, zanadto trzeźwego obserwatora:

— Tobie panie Ettersberg, musi się wydawać niepojętem i dziecinnem, że można cieszyć się czemkolwiek na tym Bożym świecie? Tyś pewno tej śmieszności w życiu nie popełnił, i na biedne jaskółeczki nigdy uwagi nie zwrócił?

— O przeciwnie. Nie raz im zazdrościłem lotu

śmiałego, którego nikt nie wstrzyma, i nikt nie krępuje. Nie masz nic w życiu wyższego nad wolność!

— Nic wyższego?

W pytaniu czuć było niechęć i rozdrażnienie. Odpowiedź mimoto wypadła szorstko i stanowczo:

— Nic!... dla mnie przynajmniej...

— To tak brzmi uroczyście, jak gdybyś pan dotąd jęczał w kajdanach — zaśmiała się drwiąco Jadwiga.

— Nie koniecznie potrzeba dzwonić łańcuchami, i siedzieć w podziemnych kazamatach, aby wzdychać do wolności — odparł Oswald w tym samym tonie, tylko posuniętym do najwyższego sarkazmu. – Życie samo dosyć ich kuje, i pęta nas niemi boleśniej i dotkliwiej, niż prawdziwe kajdany, więźnia uciskające.

— No, w takim razie, trzeba zrzucić je z siebie.

— Całkiem słusznie! Trzeba się starać z tych pętów wyswobodzić. Lecz to snadniej wypowiedzieć, niż uczynić. Kto zawsze był wolnym, ten nie tak łatwo pojmie, że inni nieraz latami mordują się i walczą nadaremnie, że wszystko gotowi poświęcić, a jednak tego dobra zdobyć nie mogą, które przecież należy się każdej istocie ludzkiej, czującej i myślącej. Oto zresztą nie idzie, ile się poświęci, byle w końcu wolność sobie wywalczyć!

Umilkł i śledził tęsknym wzrokiem lot jaskółek. Cierpliwość Jadwigi była co prawda na ciężką próbę wystawioną. Co bo też nie wszystko pozwalał sobie ten Oswald nieznośny? Najprzód ośmielił się zganić bardzo ostro jej schadzkę z Edmundem, następnie oświadczył szorstko i stanowczo, w sposób prawie obrażający, że za żadną cenę, w domu kuzyna dłużej nie zostanie; mówił o niestworzonych rzeczach, więzieniach, kajdanach, pętach, tylko o niczem coby jej mogło być przyjemne; wreszcie puścił wodze myślom, zapominając zupełnie, że ma szczęście znajdować się w towarzystwie damy tak pięknej i tak powszechnie uwielbianej, narzeczonej kuzyna, którą ten oddał mu pod opiekę. Uznała że miara jego bezwzględności i niegrzeczności względem niej, już się dopełniła, powstała więc mówiąc tonem lodowatym:

— Czas najwyższy, żebym do domu wróciła.

— Jak pani rozkażesz! — O krok naprzód postąpił, i chciał jej ramię podać. Wstrzymała go ręki skinieniem:

— Dziękuję panie Ettersberg. Znam drogę doskonale!

— Edmund polecił mi usilnie, abym panią odprowadził...

— A ja uwalniam pana od tego — odrzekła tonem decydującym, który dowodził, jak mało ją obchodziły rozporządzenia narzeczonego, skoro nie były zgodne z jej wolą. — Sama tu przyszłam, i sama odejdę.

Cofnął się natychmiast.

— Życzę pani się spieszyć — zimno zauważył. — Chmury ze wszech stron nadciągają, deszcz lunie lada chwila.

Objęła i ona wzrokiem chmurny widnokrąg.

— Do tego czasu będę dawno w domu, a choćby mnie deszcz i zmoczył, nic sobie z tego nie robię. Będzie to pierwszy deszcz ciepły, majowy. Skoro jaskółki przyleciały... toć i wiosna nadejdzie nareszcie!

Ostatnie słowa wymówiła tonem tak wyzywającym, jakby swojemu przeciwnikowi rękawiczkę w twarz cisnęła. On jednak pocisku nie podjął, tylko grzecznie, lecz nader zimno, skłonił jej się i do odejścia zabierał. To ostatnie lekceważenie jej tak jawnej niełaski, wzburzyło i rozgniewało do reszty dziecko popsute i rozpieszczone. Zaledwie mu na pożegnanie głową skinąwszy, pomknęła z miejsca rączo jak sarna spłoszona, i wkrótce znikła mu z oczu.

Ten pospiech jednakże, nie pochodził ze strachu przed deszczem. Skoro zbiegła z pagórka, zwolniła kroku. Nie tyle uciekała przed deszczem, co przed tym nieznośnym m e n t o r e m, który nawet jej ośmielił się dawać nauki, a przytem posuwał swoją bezwzględność do najwyższego stopnia. Ani jednem słowem nie zaprotestował, gdy mu powiedziała, aby jej nie odprowadzał. Nie byłaby ustąpiła, to pewna, lecz prosta grzeczność wymagała, aby przecież jakiś żal okazał. Ale on nic, ani mruknął! Był zapewne kontent, że mógł się uwolnić od tej rycerskiej przysługi. Młodą panienka ładna i bogata, tak była do hołdów przyzwyczajona, i tak niemi popsuta, że podobną obojętność, jako śmiertelną obrazę uważała. Już była przed samym domem, a jeszcze krew w niej kipiała, i z gniewu nie była ochłonęła.

Oswald stał na tem samem miejscu, a chociaż przed nadciągającym deszczem przestrzegał, sam nie dbał widocznie o niego. Oparty o drzewo, spuścił głowę na piersi i głęboko się zadumał.

Chmury prawie nad jego głową wisiały, jaskółki uwijały się coraz niżej, cały widnokrąg mgła gęsta zasłoniła, wreszcie i deszcz zaczął padać dużemi kroplami, ale ciepły i cichy.

Miała słuszność Jadwiga. Jaskółki inne powietrze z sobą przyniosły. Wszystko zdawało się ruszać i ożywiać, ziemia wciągała chciwie deszcz majowy. Mimo, że jeszcze dziś rano była jej powierzchnia szronem pokryta, czuło się życie w jej łonie pulsujące.

I ten samotny człowiek, tam pod drzewem stojący, odczuwał pierwszy raz w życiu, dziwny i niepojęty wpływ wiosny nadchodzącej. Czuł jakieś wonie niezwykłe w powietrzu, zdawało mu się, że coś się rusza, coś szepce tajemniczo w koło niego. Nie wiedział, a może nie chciał wiedzieć, co mu na te wszystkie cuda natury oczy otworzyło, dość, że powoli zacierał się w jego rysach, wyraz nienawiści i woli nie dającej się złamać, zacierała się pamięć młodości spędzonej smutnie, nie ożywionej jednym jaśniejszym słońca promykiem, zacierał się nawet żal i gorycz na wspomnienie tych, którzy jego naturę dumną i szlachetną chcieli zmusić do ślepego posłuszeństwa, systematycznem poniżaniem i najgorszem obchodzeniem się z nim od lat dziecięcych. Wszystko powoli znikało, a natomiast

w oczach pojawił się wyraz tęskny i rozmarzony, na ustach uśmiech słodki i łagodny zaigrał, patrzył w dal bezmyślnie, i nie mógł się oderwać od czarownych obrazów, które tem silniej go przykuwały, im później, bo po raz pierwszy — serce jego podobnemu uczuciu poddawać się zaczynało.

Jaskółki ciągle mu się nad głową uwijały; witały go i żegnały przeciągłym świegotem, a ten ich krzyk wiosnę zapowiadający, ta woń odurzająca, te szepty tajemnicze i głos jego własnego serca, wszystko zdawało się w koło niego powtarzać słowa przed chwilą z takim tryumfem przez inne usta wymówione:

— Wiosna nadejdzie nareszcie!

Uknuty na owej schadzce plan kampanji wszedł w życie niebawem. Młodzi państwo, oświadczyli stanowczo rodzicom, jako się kochają nad życie, i tylko jedno do drugiego należeć chcą i będą. Wywołało to efekt kolosalny tak w Brunneck, jak w Ettersberg. Nastąpiły wyrzuty, prośby, groźby, wreszcie energiczne i nieodwołalne „nie“ ze stron obydwóch.

Młody hrabia, a obecny ordynat, wysłuchał matki zaręczenia „że chyba po jej śmierci, o podobnym związku będzie mógł pomyśleć, lub też zechce zerwać z matką wszelkie stosunki, gdyż ona w życiu na taką synowę nie przyzwoli“. - - Jadwiga zaś zniosła stoicznie napad ojca, który od zmysłów odchodził na myśl, że mu śmią prezentować jako przyszłego zięcia, jednego z Ettersbergów, z tej rodziny przez niego znienawidzonej, a do tego przeciwnika w procesie o Dornau, który mu tyle dotąd krwi napsuł. Niechęć i zakaz rodziców, objawione w sposób tak dobitny, nie wywarły niestety żadnego wrażenia na młodą parę. Przeczuwając opór rodzicielski, i niemożność widywania się tak często jak dawniej, umówili się naprzód, jaką drogą listy sobie posyłać będą, i w tej samej godzinie, po wybuchu gniewu rodzicielskiego, pisać do siebie zaczęli.

Panna Lina siedziała w salonie na zwykłem miejscu pod oknem, radca przebiegał pokój w szersz i wzdłuż, wielkiemi i ciężkiemi krokami. Skoro mu córka znikła z oczów, po rozprawie nader energicznej, w której broniła miłości swojej zawzięcie, zwrócił się ze srogiemi wyrzutami do kuzynki.

— Wszystkiemu tyś winna! — krzyczał dysząc z gniewu. — Twoja ślamazalna uległość, pobłażliwość, ułatwianie i pokrywanie wizyt, schadzek, Bóg wie czego! całego nieszczęścia przyczyną!

Słuchała z miną całkiem obojętną, ani na chwilę nie przerywając sobie ręcznej robótki, którą w rękach trzymała. Czekała cierpliwie na pauzę, a gdy z braku tchu u zasapanego pana radcy nastąpiła, tak odpowiedziała:

— Przedewszystkiem racz mi powiedzieć kuzynku, co właściwie masz przeciw temu małżeństwu?

Zapytany stanął w osłupieniu — tego mu już było za nadto! Jakto? Więc on od pół godziny, krzyczy, tampetuje, klnie od wszystkich djabłów, chcąc okazać gniew, wściekłość i oburzenie, na to tylko, aby go się spytano najspokojniej „dla czego właściwie nie chce tego małżeństwa?“ Tak był na razie odurzony, że nawet na odpowiedź zdobyć się nie umiał.

— Nie pojmuję twojej niechęci — prowadziła rzecz dalej panna Lina. — Idzie tu o prawdziwą skłonność dwojga serc młodych, hrabia Ettersberg zaś jest najmilszą w świecie osobistością. Ten nieszczęsny proces, który ci przez całą zimę psuł humor, zakończyłby się w sposób najnaturalniejszy, a zapatrując się na ten związek z jakiego chcieć punktu, zawsze to jest świetna partja dla Jadwini. Dla czegóż jesteś mu przeciwnym?

— Dla czego? Dla czego?! — krzyknął radca, gorzej jeszcze podrażniony, tą mową spokojną. — Gdyż nie ścierpię, żeby moja córka zaślubiała Ettersberga! Bo jej to pod błogosławieństwem zakazuję!

Wzruszyła ramionami:

— Wątpię, żeby Jadwiga chciała uznać słuszność tych powodów. Pójdzie po prostu za przykładem własnych rodziców, którzy także bez pozwolenia ojca...

— To było co innego! — przerwał jej radca gwałtownie — zupełnie co innego!

— Było zupełnie to samo, tylko że wtedy okoliczności o wiele mniej sprzyjały niż dzisiaj, gdzie istotnie li przesąd i upór, młodej parze do szczęścia przeszkadzają.

— Prześlicznemi komplementami mnie obsypujesz! — zaśmiał się radca spazmatycznie, zgrzytając zębami. Przesąd! Upór! Może masz więcej jeszcze podobnie miłych i pochlebnych słówek w pogotowiu? Mów! mów! nie żenuj się! Czekam!...

— Z tobą dziś szkoda i mówić — zauważyła panna Lina, podnosząc nazad robotę, która przez kilka minut na jej kolanach spoczywała. — Później tę kwestję omówimy, gdy się cokolwiek uspokoisz.

— Lina! Ty mnie zamordujesz! Odłóż przynajmniej na bok to szycie przeklęte, i nie wyciągaj mi po pod nos nitki za nitką z flegmą niewzruszoną, gdy mnie mało djabli nie porwą, gdy ja!... ja!...

— Chciałbym dom wywrócić do góry nogami — dokończyła panna Lina. — Daj pokój! będzie on stać, jak stoi.

— Nie wywróci się, to pewna, ale przeto g r a f i ą t k o wasze w nim więcej nie postanie! Chociaż wszyscy przeciw mnie spiknęliście się, wszyscy w otwartej staje cie opozycji, mam ja dzięki Bogu! walnego sprzymierzeńca w hrabinie. Ta będzie o wiele twardszą jeszcze w swoim oporze. Nienawidzimy się nawzajem, w procesie szykanujemy siebie na wszelki sposób możliwy, na tym jednak punkcie zgodzimy się wyjątkowo. Już ona synowi głowę naprostuje! co mnie cieszy, cieszy niewymownie! Ja tak samo z córką postąpię.

— I ja myślę, że hrabina nie tak łatwo ustąpi. — Lina zimno wtrąciła. — To już rzecz Edmunda, uzyskać matki przyzwolenie.

— Edmunda! Edmunda! — powtórzył radca wpadając dziś z jednego gniewu w drugi. — Jak to brzmi serdecznie, familjarnie! Już go widocznie uważasz jako twego przyszłego siostrzeńca! Ale z tego nic nie będzie! Jak Bóg w niebie nie będzie! Powiedziałem nie! i przy tem zostanie!

Wyleciał wściekły z pokoju, rzucając drzwiami, że aż wszystkie szyby zadźwięczały. Kuracja co do „nerwów“ panny Liny, udała się kapitalnie, bo nawet nie drgnęła na ten hałas piekielny, tylko głową potrząsła i mruknęła z cicha:

— Ciekawam, ile też dni w tym wielkim ferworze wytrzyma.

W Ettersberg dyskusja miała pozory spokojniejsze; była prowadzona więcej z pańska przez hrabinę, lecz również młodej parze żadnej nadziei nie zostawiała. Matka uporem syna przerażona, jak zwykle w kwestjach ważnych zawezwała brata pomocy, który stawił się też natychmiast. Teraz więc podwójna walka Edmunda czekała, z matką i piekunem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na Wakacjach

NOWELLA.

(Dokończenie).

Bezwiednie, nie myśląc, że się tem zdradzić może, z piersi przepełnionej, zaczęły płynąć tony najprzód ciche, stłumione, niby westchnienie. Mową sercu jej najwłaściwszą, posyłała w dal pozdrowienie ukochanemu słowami arji, którą najwięcej się zachwycał.

Falami powietrza niesione, brzmiały słowa z Halki tak proste, a tak rzewne:„ Gdyby z rannem słonkiem, wzlecieć mi skowronkiem, gdyby jaskółeczką, bujać mi po niebie, gdyby rybką w rzece, płynąć tu do ciebie, Jasiu mój do ciebie.“

Powoli, powoli, pierś coraz wyżej się podnosiła, głos coraz więcej potęgi nabierał. Uniesiona, rozmarzona, o całym świecie zapomniała, a gdy przyszło do słów ostatnich: „Pan mój wróci, Jasio mój!“ — z taką siłą i z tak namiętnem uczuciem rzuciła w niebiosa tę nadzieję, po skardze serca zbolałego, że ptaszki zdziwione umilkły, a cała natura zdawała się wsłuchiwać w ten spiew tak czarowny.

Wróciła do pokoju. Starzec zdawał się usypiać. Fajka zgasła leżała na ziemi, głowa zwisła mu na piersi, ręce trzymał złożone jak do modlitwy. Podniósł na nią oczy łez pełne i szepnął głosem dziwnie zmienionym:

— Jak ty cudownie spiewasz dziecię! Tak chyba Mospaneńku aniołowie w niebie spiewają! Czemu kryłaś się z tem przedemną?

Basia drżąca, struchlała, nie wiedziała na razie co odpowiedzieć:

— Myślałam, że stryj dobrodziej muzyki nie lubi — wyjąkała.

— Taką jak twój głos lubię. Ty dziecię spiewasz łzami, Mospaneńku, spiewasz sercem całem! Do warunków testamentu dodaję i ten: że sprowadzisz sobie fortepian, i będziesz mi codzień spiewała. Słysząc ciebie, zdawało mi się, że wróciłem do lat dziecięcych, że widzę nachyloną nad mojem łóżeczkiem postać matki, i słyszę jej słodki głos, nieuczony, a tak rzewny, którym koiła moje największe boleści. O! tak mnie już nikt nie kochał! Mospaneńku. Nikt, nigdy!

— Będziesz ojczulku kochanym! inaczej, ale nie mniej czule, przez twoją córkę przybraną, — zawołała Basia radośnie. Jakaś część przynajmniej ciężaru, spadła jej z serca, skoro jej głos nie raził staruszka, i nie pozbawił jej tegoż sympatji.

Wcześniej niż zwykle rozeszli się tego wieczora. Do dnia Basia wybierała się po matkę Jana do Warszawy.

* * *

I znowu miało się ku wieczorowi. Drzwi od ogrodu były szeroko otwarte, powietrze zalatywało wonne i ciepłe. Wszystko jednak jesień zapowiadało. Zboże w sterty złożone, ścierń tylko suchą po sobie zostawiło, liści zżółkłych coraz więcej ze ścieżek w ogrodzie zmiatano, gruszki za to i śliwki na drzewach dojrzewały i jabka czerwone połyskiwały.

Z panem Kasprem ratunku nie było, i on sam sobie rady dać nie umiał.

Nikt mu w niczem nie mógł dogodzić, nic go nie cieszyło, a na każdem miejscu, i o każdej porze Basi mu brakowało. Na dobitek ów spodziewany dependent umarł w drodze, nikogo nie miał pod ręką, ktoby umiał po francuzku, a listów cała paka przyszła z Brukseli; Basi zaś jak nie było, tak nie było.

— Tak to z kobietami było i będzie Mospaneńku — mruczał staruszek coraz gęstszemi chmurami dymu się otaczając. — Co z oczu, to i z serca! Myślałem, że Basia wyjątkiem w regule. Gdzietam! I ona po jednych pieniądzach! Cztery tygodnie mijają jak odjechała. Jużbym na ślimaku jadąc, dojechał i powrócił, a nie dopiero tym smokiem ognistym! Przecie Warszawa nie za morzami, nie na końcu świata! Ot! zwyczajnie białogłowa! mospaneńku. Trynda się po mieście, a ty stary grzybie siedź samotny, jak sowa w gołębniku! Albo jej to w głowie!

W tem wśród ciszy wieczornej, od drogi, z pod lipy, popłynęły rzewne tony:

,,Gdyby z rannem słonkiem.

,,Wzlecieć mi skowronkiem.

I znowu fajka wypadła z drżącej ręki starca. Tym razem jednak nie zapadł w zadumę o latach ubiegłych, tylko zerwał się na równe nogi, i z radośnym okrzykiem powitania wybiegł na ganek.

Za chwilę u nóg jego leżała Basia, z płaczem go po rękach i kolanach całując. Za wiele było tego wzruszenia na wątłe siły starca. Zaledwie zdołał wejść nazad do pokoju oparty na ramieniu córki przybranej, i tu upadł prawie omdlewający na sofę.

Gdy cokolwiek ochłonął, rzekł głaszcząc Basię po cudownych, kruczych warkoczach.

— Dzięki Bogu, żeś wróciła dziecię drogie. O małom na śmierć Mospaneńku nie zatęsknił za tobą. Dni moje policzone, a chciałbym jeszcze przed śmiercią choć trochę użyć, tego szczęścia, któregoś mi dała zakosztować, pierwszy raz w mojem życiu.

— Da Bóg, będziesz nam żył jeszcze w długie lata najdroższy stryjaszku. Będzie nas teraz więcej do kochania i pielęgnowania ciebie.

Basia mówiła z przejęciem, ale jakby i z pewną trwogą jednocześnie.

— A gdzież pani bratowa? — spytał staruszek po chwili. — Przecie sama nie wróciłaś Mospaneńku.

— Jest, jest i mama! — skoczyła jak sarneczka na ganek, wprowadzając panią Wolińską, drżącą i bladą jak ściana.

Pan Kasper powstał z kanapy, a całując rękę bratowej rzekł:

— Dawnośmy się pani siostro nie widzieli Mospaneńku. Wiele względem ciebie zawiniłem. Dopiero mi to serdeczne dziecko oczy otworzyło. No, ale będzie odtąd mojem staraniem, nagrodzić ci miłością i poszanowaniem, com wprzód zaniedbał. Racz się pani siostra rozgościć jak u siebie. — Wskazał jej miejsce obok siebie na kanapie. — A teraz opowiadaj Basiu, gdzieś się tak Mospaneńku zawieruszyła?

— Ach! kochany stryjaszku. Anibyś uwierzył, ile miałam w tym czasie kłopotów! Dowiedziałam się przypadkiem, że zamówiony przez ciebie dependent umarł w drodze. Postarałam się więc o innego. Prawnik ukończony, i dependował już u jednego z naszych pierwszych adwokatów. Ma zewsząd świadectwa najchlubniejsze, i po francuzku umie expedyte.

— Pal cię sześć! Cudo, nie dziewczyna! Nawet o dependenta potrafiła mi się wystarać.

Zwrócił się do bratowej; ta jednak milczała zafrasowana, i dotąd jakoś przyjść do siebie nie mogła czy z trudu, czy ze wzruszenia.

— Ale kochany stryjaszku, takiego feniksa pomiędzy dependentami, nie łatwo znaleźć było. Abyśmy go więc już nigdy nie stracili, musiałam... musiałam...

— Obiecać mu większą pensją zapewne Mospaneńku? — wpadł jej w słowo pan Kasper.

— Ej! gdzietam stryjaszku! Jeszcze gorzej! Musiałam go wziąć... a raczej dać mu siebie za żonę.

Staruszek osłupiał.

— Ponieważ wiem, jak stryjaszek lubi spokój — mówiła Basia dalej, coraz więcej pomięszana — uwinęłam się prędko, abyś nie miał na głowie wesela i gości od tegoż nieodłącznych. Wszystko już szczęśliwie załatwione. Będziesz teraz miał przy sobie stryjaszku o jedną więcej osobę, która potrafi cię na równi ze mną kochać i najtroskliwszemi staraniami otoczyć.

— Ha! Cóż mam robić Mospaneńku. Jeżeli nie chcę znowu sam, jak palec pozostać, muszę przyjąć do domu tego jegomościa z potrójnym tytułem, pal go sześć! mojego sekretarza, *in spe* sukcesora, no! i męża asindzki. Idź że po niego, idź, bo myślę, iż i on musi być gdzieś pod ręką niedaleko.

Basia rzuciła okiem i skinęła głową matce przybranej, aby jej dodać odwagi, i nazad zbiegła pędem do ogrodu.

Blada i drżąca, siedziała niema i nieruchoma pani Wolińska, nie śmiejąc oczu podnieść do góry. Pan Kasper zaś wydmuchiwał takie kłęby dymu z fajki, że się niemi niby chmurą otoczył.

Za chwilę wróciła niepostrzeżenie, ciągnąc męża za sobą. Weszli innemi drzwiami, tak cicho, że już oboje u nóg starca klęczeli, a on ich spostrzegł dopiero rozgoniwszy chustką dymu obłoki.

— Jaś! — Mospaneńku! krzyknął staruszek. — A to co za komedja Basiu?

— Komedja skończona, jeżeli tak się podoba nazwać to co zaszło stryjaszkowi dobrodziejowi. Teraz zaś widzisz przed sobą rzeczywistość, w osobie twojego najprzywiązańszego siostrzeńca, a jednocześnie mojego męża najdroższego.

— Więc ty nie jesteś Basią, córką nieboszczyka dyrektora muzyki Mospaneńku? — spytał staruszek z wielkiego zdziwienia, nie mogąc się nawet na gniew zdobyć.

— Jestem niezaprzeczenie córką pana Wolińskiego, ale i Barberyną w tejże samej osobie. Tak po włosku brzmi nasza Barbara. Nie chciałam, chroń Boże! namawiać Jasia do nieposłuszeństwa, i niewdzięczności, dla jego największego dobrodzieja. Z drugiej zaś strony byłam najmocniej przekonaną, że z nikim nie będzie tyle co ze mną szczęśliwy, bo nikt go tak szczerze pokochać nie potrafi. Spróbowałam więc, czy mi się nie uda zwalczyć przesądu zakorzenionego w sercu drogiego stryjaszka, co do naszej płci w ogóle, a w szczególności, co do panien Obieżyświat, jednem słowem Komedjantek, jak nas biedne artystki zwykle nazywałeś. Jakikolwiek wyrok spadnie z ust twoich na nasze głowy, celu dopięłam, i przekonałam stryjaszka drogiego, że chociaż się jest kobietą i spiewaczką w teatrze, można zostać uczciwą dziewczyną, mieć dobre serce, a nawet... nawet... i trochę oleju w głowie posiadać! Mianowicie: umieć fajki nakładać, grać w szachy, i w nagłej potrzebie dokumenta adwokackie nie źle przepisywać. Jakże będzie z nami stryjaszku? Czyż nie przebaczysz twojej Basi, twojemu wiernemu famulusowi.

Podniosła na staruszka oczy łez pełne. Z uczuciem córki najprzywiązańszej ujęła go za rękę, okrywając ją serdecznemi pocałunkami! dziwo! nie odebrał jej Basi, chociaż wiedział, że trzyma ją w swoich dłoniach komedjantka.

— I jeszcze jedno, pozwól stryjaszku przytoczyć na moje uniewinnienie, zanim wyrok wydasz — kończyła Basia rzewnym głosem. — Nie próżność, nie chęć błyszczenia i gonienia za sławą, tak często zwodniczą, popchnęły mnię na deski teatralne. Zmusiły mnię do tego przykre domowe stosunki. Po matce Włoszce, wzięłam w spuściźnie oczy i włosy czarne, głos — jak ludzie utrzymują — piękny. Dzieckiem mnię odumarła, nie mogąc, mimo miłości, która ją otaczała, żyć bez owego kraju cudownego, gdzie jak wieszcz mówi:

„Cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa.“

Język jej jednak brzmiał dalej w mojej duszy, niby melodja anielska, niby struny nawiązane w sercu dziecka, ręką matki umierającej. Ojciec mój nietylko muzyk znakomity, lecz i człowiek wszechstronnie wykształcony, rozwijał powoli tak wrodzone talenta, jak i umysł mój młodociany. Inne nauki uważałam jako obowiązek; muzykę zaś jako nagrodę i wypoczynek po pracy. Prócz artystów, z którymi ojciec musiał jako dyrektor obcować, z nikim nieżyliśmy, i nikt u nas nie bywał.

Jeden z Włochów, śpiewak znakomity, rodem z Bolonji, który przez kilka sezonów do Warszawy zjeżdżał, podsłuchał kilka razy śpiew mój i był nim zachwycony. Namawiał ojca, żeby mnię zawiózł do Włoch, gdzie ogromne powodzenie mi obiecywał. Ojciec z oburzeniem przyjął z razu tę propozycję. Przyszła atoli na mojego biednego ojca ciężka choroba. W skutek zbytniego natężenia oczu, zaczął wzrok tracić... wreszcie ociemniał zupełnie. Przypomniały mi się słowa pana Bacciniego, że mogłabym zrobić karjerę we Włoszech, a przytem zapamiętałam opowiadanie tegoż, o sławnym lekarzu Mattei, w okolicy Bolonji, który cudownie, na oczy szczególniej ma leczyć.

Napisałam list do poczciwego naszego przyjaciela, i oto na jego gołosłowną rekomendacją, dostałam zaproszenie do Bolonji, jako śpiewaczka opery.

Silna miłością dla ojca i chęcią gorącą dopomożenia mu w nieszczęściu, pokonałam wszelkie trudności. Pamięć miałam doskonałą, nuty czytałam jak książkę drukowaną, a język włoski umiałam jak mój własny.

Wkrótce sława moja była ustaloną.

Bóg jednak inaczej postanowił. Ojciec wzroku już nie odzyskał, a ta zgryzota koniec jego przyspieszyła. Nie mogłam przecież porzucać teatru, gdyż dłuższa słabość, pogrzeb ojca i złe zdrowie matki biednej, wyczerpało nasze fundusze.

Jak moja matka rodzona bez Włoch żyć niemogła, tak samo druga, sercem za matkę uznana, za Polską i za synem na śmierć tęskniła. Postarałam się więc o zaangażowanie do Warszawy. Tu poznałam mojego Jasia, a pierwszy raz w życiu szczerze pokochawszy, postanowiłam bez wahania zamienić blaski zwodnicze, na ciche życie domowe, a wieńce sławy, na jeden kwiat cudowny, który mi miłość podawała. Wszystko, wraz z sercem nieskażonem, złożyłam u stóp mojego męża i pana.

Oto moja historja, drogi stryjaszku. Reputacja moja została nietkniętą; miałam zawsze u boku Anioła Stróża, cień zgasłej przedwcześnie matki. Mogłam więc śmiało oddać rękę bez plamy, uczciwemu człowiekowi, gdyż da Bóg, w niczem nadziei jego nie zawiodę.

Staruszek zwrócił się ku bratowej.

— Pal mnię sześć! Tak mi się jakoś głupio robi koło serca, żem z kretesem Mospaneńku języka w gębie zapomniał! Wiele, wiele zawiniłem! Jak żółw, jak ślimak, zamknąłem się w własnej skorupie, dopiero ta walna dziewczyna oczy mi otworzyła. Jak już mówiłem pani siostrze, chcę wszystko nagrodzić. No, wstańcie dzieci, wstańcie. Skoroś mościapanno raz potrafiła opętać mnie starego, i stałaś mi się niezbędną, toć już zostaniesz w tym domu jak i w tem starem sercu, które przed śmiercią rozgrzałaś, i kochać coś więcej niż swoje Ja nauczyłaś Mospaneńku! Tobie Jasiu muszę również przebaczyć. Dziwić się Mospaneńku młodemu! kiedy taki stary jak ja wyga, dał się za nos wodzić, koło palca owinąć, na dudka wystrychnąć, i o zgrozo! co dzień wpuszczał tylnemi drzwiami, do swojej kancelarji, do swojego Sanctuarium. Pal mnię sześć! marmozelę z teatru! A więc Basiu, czy Barberino Mospaneńku, rozgość się asińdzka jak u siebie; a ty panie Janie Mospaneńku, od jutra weź się do wszystkich, czekających na ciebie zaległości. A rano i wieczór dziękuj Bogu Mospaneńku, żeś miał co prawda, więcej szczęścia, niż rozumu, i żeś znalazł brylant, tam, gdzie inni... Pal mnię sześć jeżeli kłamię! nieszczęście i hańbę najczęściej znajdowali. Dosyć jednak Mospaneńku tych scen rozczulających, Słyszę głos Macieja gderający, że mu się spalą kurczęta, i grzybek zapadnie cytrynowy, jak nieprzymierzając Mospaneńku, on sam zgarbaciał na starość. Służę pani siostrze do kolacji. Tam opowiem szczegółowo, jak to mnie wykierowała panna Barbara, Mospaneńku, i na co użyła czterotygodniowych wakacyj.

KONIEC.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.